



O lockoutcie i zawodnikach, którzy pomagają nam go przetrwać...

Sezon 2010/11 był niezwykły. Nie wiem czy można go nazwać jednym z najlepszych w historii, ale na pewno był jednym z tych, które na długo zapadną nam w pamięci. Był wyjątkowy. Mówiąc o jego wyjątkowości od razu narzuca nam się Wielka Trójka w Miami, powrót Bulls na szczyt, świetny sezon zasadniczy Spurs, mistrzostwo 'wiecznych przegranych' z Dallas, odbudowa Knicks, dalsza rywalizacja Lakers–Celtics, ostatni sezon Phila Jacksona... Długo można by wymieniać. Ale ten sezon był jeszcze bardziej niezwykły. To był sezon, w którym kibice zaczęli oglądać mecze Clippers z własnej nieprzymuszonej woli, a do tego, sprawiała im to przyjemność. Blake Griffin zupełnie odmienił sposób w jaki patrzymy teraz na tą najgorszą drużynę wszech czasów. To też był sezon, w którym wszyscy zachwyciliśmy się występami Grizzlies. Nie tylko wygrali oni swój pierwszy mecz w playoffs w historii, ale i pokonali najlepszych na zachodzie Spurs. Jak widać, dowody na wyjątkowość tego sezonu można mnożyć. A trzeba jeszcze wspomnieć, że był on też szczególnym dla nas. To w trakcie tych rozgrywek Marcin Gortat wreszcie wyrwał się zza pleców Dwighta Howarda i stał się czołową postacią Suns. Dlatego również w Polsce koszykówka spod znaku NBA zaczęła ponownie budzić coraz większe emocje. Wiadomo, że nadal daleko jej do świetności z lat 90-tych, kiedy NBA w naszym kraju znali prawie wszyscy, ale coś się wreszcie ruszyło.

Nie ma wątpliwości, że był to wyjątkowy sezon w NBA.

Tym bardziej nie możemy doczekać się kolejnego, który powinien być równie interesujący, a może i jeszcze lepszy. Chcemy zobaczyć co się teraz wydarzy, jak potoczą się losy poszczególnych drużyn i zawodników w następnym sezonie. Czy Derrick Rose utrzyma formę MVP, czy Spurs i Celtics rozsypią się ze starości, czy Mavs będą w stanie obronić tytuł, czy Griffin będzie latał jeszcze wyżej, czy Ricky Rubio odnajdzie się w NBA, czy Kevin Durant po raz trzeci sięgnie po koronę króla strzelców, a LeBron James nauczy się grać w końcówce czwartej kwarty? Niestety, póki co nie dostaniemy odpowiedzi na żadne z tych pytań. Lockout się przedłuży, sezon opóźnia i już wiemy, że pełne, 82-meczowe rozgrywki się nie odbędą. Już od prawie czterech miesięcy NBA stoi w miejscu i nie wiadomo kiedy ponownie ruszy. Teraz możemy jedynie zastanawiać się czy będzie nam dane obejrzeć ten sezon chociaż w okrojonej części, a jeśli tak, to kiedy on się rozpocznie.

Po dwóch wakacyjnych miesiącach ciszy, we wrześniu rozmowy pomiędzy ligą a związkiem zawodników nabrały tempa, zapewniając kibicom prawdziwą huśtawkę emocjonalną. Cały czas zastanawialiśmy się, czy zdążą się dogadać i uratują cały sezon, czy nie. Były spotkania, negocjacje, skończyły się narzekania z obu stron na złą wolę oponentów i całą ligę napęłnił optymizm. Przekaz był jasny – jest szansa na porozumienie i start rozgrywek o czasie. Ale równolegle był też zupełnie inny przekaz – obie strony dzieli przepaść w kwestii podziału zysków i systemu salary cap. Co chwilę pojawiały się doniesienia optymistycznie głoszące, że jest pole do porozumienia, jak również te twierdzące, że skrócenie sezonu jest nieuniknione.

Później byliśmy świadkami kilku spotkań ostatniej szansy i mimo, że teoretycznie stanowiska obu stron zbliżyły się, 11 października David Stern odwołał pierwsze dwa tygodnie rozgrywek. Następną fazą były negocjacje z udziałem mediatora, ale 30 godzin rozmów przez 3 dni też nie wystarczyło, by znaleźć porozumienie. Następne mecze zostały odwołane. Lockout trwa nadal i nikt nie wie jak to wszystko się zakończy.

Wiadomo już, że rozgrywki na pewno nie ruszą do końca listopada, a bardzo możliwe, że i kalendarz grudniowy wylądzuje w koszu. Dlatego teraz wszyscy marzymy o powtórce z sezonu 1998/99, żeby choć część rozgrywek udało się uratować. Jeszcze nie tak dawno, sytuacja sprzed 13 lat wydawała się nam najgorszym scenariuszem, a teraz może okazać się zbawieniem, bo ciągle istnieje realna groźba, że cały sezon zostanie odwołany.

W NBA toczy się wojna o ogromne pieniądze pomiędzy miliarderni (właścicielami) a milionerni (zawodnikami). Każda z tych grup walczy, by zyskać jak najwięcej, a wszystko co jest poza tym, wydaje się ich nie interesować. Nieważne jest czy sezon będzie krótszy, czy w ogóle się odbędzie. Nie ważne, co myślą kibice. Liczy się tylko kasa. A przecież to kibice są najważniejsi, bo to dzięki nim NBA może sprzedawać swoje produkty, może podpisywać wysokie kontrakty ze sponsorami i stacjami telewizyjnymi. Bez kibiców chcących oglądać NBA, ci miliarderni i milionerni nie mieliby o co się kłócić. Jednak co z tego, skoro w tym całym konflikcie kibice nie mają nic do gadania. W tym momencie kibice są nieważni, ale jak tylko lockout się zakończy, ponownie David Stern będzie się do nas pięknie uśmiechał i zachęcał do kupowania produktów sygnowanych marką NBA.

Nie mam zamiaru opowiadać się po żadnej ze stron tego konfliktu. Według mnie, obie strony są w równej mierze winne całej tej sytuacji i temu, że pierwszego listopada sezon nie ruszy. Chcę wreszcie obejrzeć mecze nowego sezonu, dlatego oczekuję, że obie strony racjonalnie spojrzą na obecną sytuację, uświadomią sobie, że na odwołanych meczach wszyscy tracą i wreszcie znajdą kompromisowe rozwiązanie. I zrobią to jak najszybciej. Nie mam nic przeciwko, żeby zawodnicy mieli wysokie zarobki, a właściciele ogromne zyski, w końcu dają nam świetny produkt jakim jest NBA. Ale też nie zamierzam współczuć tym milionerni, że ich pensje zostaną zmniejszone, bo i tak nadal będą to milionowe zarobki. I tym bardziej nie jest mi żal tych miliarderni, że akurat z faktu posiadania drużyny NBA nie mają jeszcze więcej zysków. Przecież i tak większość z nich posiadanie zespołu traktuje jak hobby. A jeśli patrzą na to jak na biznes, jako ludzie sukcesu wiedzą jak inwestować i świetnie zdają sobie sprawę, że kupując drużynę z małego miasta nie da się na niej zarobić tak jak na zespole grającym w Nowym Jorku czy Los Angeles.

Poza tym, **właściciele** walczący teraz z przepłacanymi zawodnikami, a przecież to oni sami dali Rashardowi Lewisowi \$118 milionów, Gilbertowi Arenasowi \$111 milionów (kiedy już było wiadomo, że ma poważne problemy z kolanami), Joe Johnsonowi \$120 milionów, ale też \$35 milionów Travisowi Outlaw czy \$20 milionów Darko Milicicowi. Można by długo wymieniać. Nikt ich do tego nie zmuszał, nie przystawiano im pistoletu do głowy, aby podpisali te kontrakty. Sami zgodzili się na tak absurdalne umowy. Dzięki ich hojności, w tym sezonie (o ile ruszy) Lewis będzie drugim najlepiej opłacanym zawodnikiem w całej lidze, tuż po Bryancie. Natomiast Arenas zajmie nieodległe piąte miejsce na tej liście, wyprzedzając między innymi MVP ostatnich finałów, Nowitzki'ego.

Weźmy jeszcze inny przykład, Hedo Turkoglu. Już kiedy podpisywał umowę z Raptors, wartą ponad \$50 milionów za 5 lat gry, było wiadomo, że jest przepłacony. Później jego gra w barwach drużyny z Kanady boleśnie to potwierdziła. Hedo zarabiał jak gwiazda, ale grał znacznie poniżej oczekiwań. To można było przewidzieć, ale władze Raptors zdecydowały się

zaryzykować i zainwestowały w niego. Chociaż to i tak nic, w porównaniu z tym, na co zgodził się właściciel Suns. Przecież on zgodził się przejść kontraktu Turkoglu, w sytuacji gdy już nie było żadnych wątpliwości, że jest on bardzo przepłacony. Robert Sarver jednak zaakceptował transfer z Raptors tuż po tym, jak nie chciał podpisać kontraktu z Amare Stoudemire'm. Bał się zaryzykować dużych pieniędzy na niepewne kolana Amare, tymczasem zgodził się wydać może trochę mniejsze pieniądze, ale wobec których miał pewność, że są wyrzucone w błoto. Skoro właściciele podejmują takie decyzje, trudno się dziwić, że ich drużyny nie zarabiają.

Właściciele to też ci sami ludzie, którzy zatrudniają takich specjalistów jak Isiah Thomasa czy David Kahn na stanowisku generalnego menedżera, a potem nie spieszą się z ich zwolnieniem. Dlatego też można zrozumieć dlaczego aż tak zależy im na ograniczeniu zarobków zawodników. Oni po prostu muszą chronić się sami przed sobą. Jeśli nie będą mieli widocznego limitu, nadal będą głupio wydawać pieniądze i potem narzekać jak to dany zawodnik jest przepłacony. A przecież nie można winić zawodnika, że podpisuje wielomilionową umowę, skoro mu taką oferują.

Oczywiście jest też druga strona medalu. Żeby zbudować mistrzowską drużynę, trzeba dużo wydawać i potwierdzają to przykłady Lakers, Mavs i Celtics. Poza tym, drużyny z mniejszych miast nie będące w ścisłym gronie faworytów do tytułu, aby zatrzymać u siebie gwiazdę, przeważnie muszą ją przepłacić. Zrobili tak Hawks w przypadku Johnsona. Wydanie na niego \$120 milionów jest ogromną przesadą, ale tak na dobrą sprawę, tylko to zatrzymało go w Atlancie. Gdyby zaproponowali mu mniej, JJ wybrałby zapewne Nowy Jork, podczas gdy Hawks nawet mając wolne pieniądze, nie pozyskaliby innego zawodnika na podobnym poziomie. Żaden z top free agent nie zdecydowałby się grać w Atlancie, mając do wyboru też Nowy Jork, Miami, Chicago czy Los Angeles. Dlatego jest oczywiste, że obecny system jest zły i trzeba go ulepszyć, aby wyrównać szanse poszczególnych drużyn. Zespoły z Los Angeles i z Milwaukee muszą mieć chociaż podobne możliwości, podobną sumę pieniędzy do wydania, a wtedy to już będzie ich problem, jeśli wydadzą je na niewłaściwych zawodników. Teraz Lakers mogą na kontrakty wydawać \$90 milionów, bo stać ich na zapłacenie \$20 milionów podatku. Tymczasem drużyny takie jak Bucks czy Pacers mają limit wydatków jakim jest poziom luxury tax, nie mogą przekroczyć \$70 milionów, ponieważ nie stać ich na dodatkowe koszty związane z podatkiem.

Ale pozostaje też pytanie, czy ilość wydawanych pieniędzy jest równoznaczna z sukcesem drużyny? Przecież tacy Knicks przez ostatnie 10 lat wydawali mnóstwo pieniędzy i co sezon płacili luxury tax, a nie odnieśli w tym czasie żadnego zdumiewającego rezultatu. Wręcz przeciwnie, przez ostatnie 10 lat tylko 2 razy występowali w playoffs. Znacznie częściej byli na dnie tabeli, podczas gdy pod względem wydatków plasowali się na samym szczycie ligi. Natomiast po drugiej stronie mamy Spurs. Oni nie mieli za sobą tak ogromnego rynku jakim jest Nowy Jork. San Antonio nie jest wielkim miastem, a właściciel drużyny bardziej patrzy na wydatki niż James Dolan w Knicks. I to właśnie ci Spurs z małego San Antonio zdobyli 4 mistrzowskie tytuły, udowadniając, że lokalizacja i ilość pieniędzy nie jest najważniejsza. Ważne jest aby pozyskać odpowiednich zawodników, nie przepłacać ich i znaleźć młode (i tanie) talenty.

Dlatego też wśród samych właścicieli jest duża różnica zdań. Jedni (między innymi właściciele Suns, Bobcats, Cavs i Blazers) chcą wprowadzić zdecydowanie zmiany i ustalić sztywny limit wydatków, ponieważ uważają, że tylko to pomoże wyrównać szanse pomiędzy wszystkimi drużynami, a im samym pozwoli zarabiać. Drudzy natomiast (między innymi właściciele Lakers, Bulls, Knicks i Heat) uważają, że problem tkwi przede wszystkim w złym zarządzaniu i nie chcą pomagać finansowo 'nieudacznikom', nie potrafiącym prowadzić swoich klubów. Oni

też byliby skłonni pójść na większe ustępstwa zawodnikom, ponieważ chcieliby jak najszybciej zakończyć negocjacje i ruszyć z sezonem, ale na drodze stoją im ci pierwsi, którzy gotowi są nawet poświęcić całe rozgrywki, aby dopiąć swego. W rezultacie, właściciele nie są w stanie dogadać się z zawodnikami, ponieważ sami we własnym gronie nie mogą ustalić wspólnego stanowiska.

Przejdźmy teraz do **zawodników**. Zgadza się, że dużo zarabiają. Bardzo dużo, a większość znacznie za dużo. Jednak trzeba też pamiętać, że obecnie nie walczą oni o więcej, jak właściciele, a o to, by cięcia ich pensji były jak najmniejsze. Bo te cięcia muszą nastąpić i jest to bezdyskusyjne, gdy patrzemy na kontrakty Lewisa czy Arenasa. Ale trochę inaczej wygląda to już gdy mówimy o gwiazdach jak Kobe Bryant, Dirk Nowitzki czy LeBron James. To przede wszystkim oni przyciągają kibiców, to oni sprzedają bilety i koszulki, jednym słowem – generują większość zysków. Bez tych największych gwiazd, NBA nie miałaby milionów kibiców na całym świecie. Dlatego tego typu graczom byłbym skłonny dać nawet jeszcze więcej niż obecnie zarabiają. Bo dlaczego po wprowadzeniu zmian i podpisaniu nowej umowy Collective Bargaining Agreement, młode gwiazdy jak Dwight Howard, Chris Paul czy Deron Williams mają dostać niższe kontrakty, niż gdyby byli wolnymi agentami kilka lat wcześniej? To nie jest fair. Dlaczego mają zostać obcięte zarobki największych gwiazd, skoro to oni mają największy wpływ na NBA i przynoszą lidze największe zyski? Powinno się oszczędzać na pseudo-gwiazdach, typu Lewis czy Arenas i na role-playerach jak Travis Outlaw, a nie na tych, którzy są filarami obecnej NBA.

Dzięki takim perełkom jak Eddy Curry (najprostszy przykład), patrzemy na zawodników jak na przepłaconych i rozkapryszonych milionerów, którzy nie zasługują na pieniądze, które otrzymują. I z takimi graczami trzeba walczyć. Ale nie można zapominać, że jest też duża grupa zawodników, których możemy nazwać 'maszynkami do robienia pieniędzy'. Oni mają ogromne pensje, ale przynoszą jeszcze większe zyski NBA i swoim drużynom. W związku z tym, powinien zostać stworzony system, który dzieliłby pieniądze sprawiedliwiej nie tylko między drużynami, ale i zawodnikami, bo obecny nie funkcjonuje najlepiej. Problem tylko w tym, że w gronie ponad 400 zawodników NBA, większość to gracze drugiego planu, a gwiazdy to tylko mała grupa, dlatego też związek zawodników walczy przede wszystkim o interesy tej większości, a nie gwiazd.

I tak, pod znakiem ciągłych rozmów o pieniądzach minęło nam już ponad 100 dni. Poza tym, w NBA nic się nie dzieje (w świecie koszykarskim mieliśmy oczywiście Mistrzostwa Europy, ale skupiam się tu na sytuacji lockoutu w Stanach, więc ten wątek pozwolę sobie pominąć). Prawdziwy sezon ogórkowy, w którym zamiast analizować kolejne wymiany, oceniać podpisane kontrakty i śledzić plotki transferowe, zajmujemy się przede wszystkim meczami towarzyskimi. A to wszystko rok po offseason 2010, który bez wątplenia przejdzie do historii – The Decision, Wielka Trójka w Miami, Amare w NY, Chandler w Dallas, Joe z maksymalnym kontraktem... Działo się bardzo dużo. A teraz? Nuda. Drużyny nie mogą kontaktować się z zawodnikami pod groźbą milionowych kar, a zawodnicy nie chcą powtórzyć losów Shawna Kempa, muszą sobie szukać miejsca do gry poza NBA. Dlatego w te wakacje dział 'transfery' tworzą jedynie informacje o tym, kto następny zdecydował się podpisać kontrakt w Europie albo w Chinach. A zamiast Summer League mieliśmy Lockout League, która mimo dużych nadziei, nawet w małej części nie 'osłodziła' nam tego lockoutowego czasu, bo nie dane nam było śledzić meczów rozgrywanych w jej ramach. Nic nam nie dało to, że w Las Vegas zebrało się ponad 70 zawodników z NBA. Zresztą co to była za liga? Nawet wyniki meczów nie były podawane. To była rozbudowana sesja treningowa i tyle, a nam pozostało tylko śledzenie

statystyk często zawierających błędy i oglądanie highlightów. Tymczasem zamiast pokazowych meczów w Europie, mamy mnóstwo różnych spotkań amerykańskich lig amatorskich i półamatorskich, a także meczów charytatywnych z udziałem gwiazd NBA. W tym offseason, to właśnie takie wydarzenia są placem gry dla zawodników NBA. Dla kibiców, którzy na żywo na swoim lokalnym boisku mogą zobaczyć Duranta czy LeBrona, było to zapewne spore wydarzenie, ale kibice na całym świecie muszą zadowolić się jedynie krótkimi filmikami z tych występów, zawierającymi tylko najlepsze akcje (ok, może dwa czy trzy mecze były streamowane w internecie, ale to były wyjątki). Dlatego kolejne tego typu mecze nie są w stanie nawet w minimalnym stopniu sprawić, że choć na chwilę zapomnimy, że w NBA panuje lockout. Ile można oglądać na YouTube efektownych zagrań zawodników występujących w meczach towarzyskich? Takie zagrania chcemy oglądać na parkietach NBA, a nie w jakiejś salce na przedmieściach Los Angeles czy Waszyngtonu. Niestety, póki lockout się nie skończy, tylko to nam pozostaje. Dlatego przyzwyczajeni do stałego śledzenia tego co dzieje się w NBA, śledzimy wydarzenia, które w normalnych warunkach nie wzbudziłyby u nas większego zainteresowania. Takie są realia i niestety nie mamy na to żadnego wpływu, jako kibice też zostaliśmy w pewnym sensie 'zlockoutowani'.

Ale nawet ten nudny czas lockoutu, kiedy NBA została zamknięta na kłódkę, ma swoje gwiazdy. Dlatego postanowiłem stworzyć **ranking 10 największych gwiazd** pierwszych, ponad 100 dni lockoutu i w ten sposób podsumować ten okres. Zdaję sobie sprawę, że mówiąc o gwiazdach lockoutu trzeba by na początku wymienić Davida Sterna, Billy'ego Huntera i Dereka Fishera (w garniturze zamiast koszulce Lakers). Jednak nie mam zamiaru wracać do tematu negocjacji nad nową umową C.B.A. To pozostawmy z boku. W moim rankingu gwiazdy, to zawodnicy, o których najwięcej się mówiło i którzy najbardziej urozmaicili nam ten czas lockoutu.

Największą gwiazdą tegorocznego lockoutowego offseason jest bezsprzecznie

Kevin Durant

Kevin od samego początku, jak tylko zakończył się miniony sezon, pomaga nam przeżyć w tych trudnych realiach i udowadnia, że jeśli dla kogoś koszykówka jest najważniejsza, to nic nie zatrzyma go przed grą, nawet lockout.

Durant już rok temu był gwiazdą okresu wakacyjnego i powoli staje się to tradycją. Wtedy poprowadził reprezentację USA do złotego medalu w Turcji. Teraz nie miał możliwości wystąpienia na tak dużej scenie jak Mistrzostwa Świata, a do tego został pozbawiony możliwości korzystania z obiektów treningowych Thunder. Mimo to, nie przestał grać. Sezon dla niego zakończył się już prawie pięć miesięcy temu, a wydaje się, że on ciągle nie zszedł z boisku. Odkąd Thunder zostali wyeliminowani przez Mavs, tylko na czas finałów o Durancie na chwilę mogliśmy zapomnieć. Później już co chwilę słyszeliśmy o tym co robi KD. Przez cały offseason nie przestał grać w koszykówkę, wyszedł na uliczne boiska, małe salki i brał udział w rywalizacji z amatorami. Gdziekolwiek tylko rozgrywano jakieś mecze w ramach lig pro-am, spotkania towarzyskie z udziałem zawodników NBA czy mecze charytatywne, tam można było spotkać gotowego do gry Kevina. Pod tym względem był najaktywniejszym zawodnikiem NBA i można śmiało stwierdzić, że on w czasie lockoutu rozegrał najwięcej meczów. Durant jest naprawdę uzależniony od koszykówki i jak wszyscy wokół niego podkreślają, on niesamowicie kocha tę grę.

W skrócie przypomnę te jego występy, o których mówiło się najwięcej. Wszystko zaczęło się

od 66 punktów, które Kevin zdobył grając na słynnym boisku Rucker Park. Dzień później w ramach Nike Pro City zdobył 41 punktów. Co prawda miał wtedy kiepską skuteczność, ale kluczową trójkę trafił i doprowadził do dogrywki, a ostatecznie jego drużyna wygrała. Później był prestiżowy pojedynek wschód kontra zachód, Waszyngton kontra LA, czyli Goodman League kontra Drew League. Durant trafił dwa decydujące wolne, zapewniając zwycięstwo Goodman League, a cały mecz zakończył z dorobkiem 44 punktów (później, w przegranym rewanżu miał 50 punktów). Kolejnym ważnym pojedynkiem było jego bezpośrednie starcie z LeBronem w ramach meczu między Goodman i Melo League. Kevin rzucił 59 punktów i był najlepszym strzelcem spotkania, ale jego drużyna przegrała. Później 56 punktów zanotował w starciu z Philly Team, a 48 podczas CP3 Foundation All-Star Game. Natomiast w meczu charytatywnym przed własną publicznością w Oklahomie, poprowadził swoją drużynę do zwycięstwa, odnotowując imponujące triple-double: 42 punktów, 26 zbiórek i 11 asyst.

Poza tym, Kevin wystąpił też w pokazowym dwumeczu na Filipinach czy charytatywnym spotkaniu w Atlancie, organizowanym przez rapera Ludacrisa, w którym rywalizował między innymi z bożyszczem nastolatek Justinem Bieberem. Zresztą chyba łatwiej byłoby wymienić mecze, w których Kevin nie grał.

Jego imponujące zdobycze punktowe robią wrażenie, ale trzeba pamiętać, że to tylko mecze towarzyskie. Tu albo Kevin miał przeciwko sobie amatorów, albo zawodników NBA, którzy nie mieli zamiaru zajmować się defensywą. W ogóle, w tego typu meczach obrona jest kwestią marginalną. Dlatego też drużyny zdobywają w nich co najmniej po 140 punktów, a gracze mogą odnotowywać tak zdumiewające statystyki. Przecież Nick Young też w jednym z meczów Drew League zdobył 60 punktów, a średnio w tych rozgrywkach notował ich 40. Nie trzeba być dwukrotnym królem strzelców NBA, żeby błyszczeć na lokalnych boiskach. To jednak nie zmienia faktu, że to Durant miał najwięcej takich imponujących występów i to o jego grze przez cały offseason mówi się najczęściej.

Durant jest obecnie jednym z najlepszych zawodników NBA. Jest jednym z tych, którzy tworzą nową generację, mającą zastąpić zbliżające się do emerytury pokolenie Kobe'go Bryanta, Kevina Garnetta i Tima Duncana. Prawdziwy szal na Duranta rozpoczął się w sezonie 2009/10. Wtedy jego talent naprawdę eksplodował i na dobre wszedł on do ścisłego grona największych gwiazd ligi. Jego pozycja jeszcze się umocniła, kiedy poprowadził reprezentację USA do złota. W efekcie, przed poprzednim sezonem mało kto widział innego MVP niż Durant. Oczekiwania wobec niego były ogromne, to miał być jego sezon. Niestety, Kevin nie spełnił tych oczekiwań i miał trochę gorsze rozgrywki niż te wcześniejsze. Czasami nawet wydawało się, że przestaje być pierwszoplanową postacią Thunder na rzecz Russella Westbrooka, który w odróżnieniu od niego miał świetny sezon. W rezultacie, Durant nie znalazł się w gronie głównych kandydatów do nagrody MVP. Chociaż ten niedosyt co do jego indywidualnych występów osłodził fakt, że po raz kolejny został królem strzelców. Poza tym, jego drużyna osiągnęła jeszcze lepszy wynik niż rok wcześniej, a w playoffs Thunder dotarli aż do finału konferencji. W fazie posezonowej Durant grał fantastycznie i znowu przypomnieliśmy sobie jak wybitnym jest zawodnikiem. Już w pierwszym meczu miał 41 punktów, a później zdobył tyle samo w piątym spotkaniu przeciwko Nuggets, kiedy zapewnił Thunder awans do kolejnej rundy. W serii z Grizzlies, poza bardzo dobrymi występami, trafił mu się też jeden fatalny mecz i to w jakże istotnym spotkaniu numer 6. Kevin trafił wtedy ledwie 3 z 14 rzutów, a jego drużyna przegrała. Na szczęście, w decydującym meczu numer 7 stanął na wysokości zadania, potwierdził swój status gwiazdy i lidera Thunder. Zdobyl 39 punktów, zebrał 9 piłek, a do tego dołożył jeszcze 3 bloki i jego drużyna awansowała do finału zachodu. Rywalizację z przyszłymi mistrzami rozpoczął od 40 punktów, ale to nie wystarczyło, ponieważ po drugiej stronie jeszcze lepiej grał Nowitzki. Durant i jego Thunder musieli uznać wyższość Mavs w tej

serii, ale dla tej młodej drużyny już sama obecność na tym etapie rozgrywek była dużym osiągnięciem.

W kolejnym sezonie, niezależnie od tego kiedy on się zacznie, Durant ponownie będzie postrzegany jako jeden z głównych kandydatów do MVP. Ponownie oczekiwania wobec niego i jego drużyny będą bardzo duże. A przecież nie można zapominać, że ten chłopak dopiero co skończył 23 lata. Jest bardzo młody, a już osiągnął niezwykle dużo. Dlatego wielu widzi w nim gwiazdora przyszłości, który w najbliższych latach może rywalizować z LeBronem i Kobe'em o pozycję tego najlepszego w NBA. Oczywiście tu od razu odezwą się krytycy, którzy twierdzić będą, że Kevin nigdy tej dwójki nie dogoni, ponieważ w odróżnieniu od nich jest zbyt jednowymiarowym koszykarzem, że brakuje mu wszechstronności. Zgadza się, trzeba przyjąć ten argument. Ale Durant jest jeszcze bardzo młody i trzeba też dać mu szansę, by popracował nad swoją grą. Może jeszcze sporo poprawić i się rozwinąć. Poza tym, kto powiedział, że trzeba być niezwykle wszechstronnym żeby być najlepszym w NBA? Trudno określić jakie w ogóle są kryteria najlepszego zawodnika w lidze. Czy patrzymy tylko i wyłącznie na możliwości indywidualne, czy też na to jak prowadzi on swoją drużynę? Czy najlepszy jest LeBron, który na parkiecie potrafi zrobić wszystko i pod względem indywidualnym nikt nie może się z nim równać, ale który póki co nie potrafi zdobyć mistrzostwa? Czy jest to może Nowitzki, który jest przede wszystkim super strzelcem, ale równocześnie najlepszym zawodnikiem i liderem mistrzów NBA? Każdy może patrzeć na to inaczej.

[Jest to podobna dyskusja do tej, kto był lepszy Bill Russell czy Wilt Chamberlain. Pod względem indywidualnym, pod względem niesamowitych statystyk, oczywiście lepszy był Chamberlain. W końcu to on zdobył 100 punktów, ale z drugiej strony, tylko dwa razy sięgnął po mistrzostwo. Tymczasem Russell, był przede wszystkim wybitnym defensorem i aż 11 razy prowadził Celtics do tytułu. Dyskusja o tym, który z nich był lepszy nigdy się nie skończy, bo zawsze jedni bardziej będą cenić indywidualne możliwości, a inni to, co dany zawodnik osiągnął ze swoją drużyną.]

Kevin nigdy nie będzie notował statystyk bliskich triple-double, jak robi to LeBron, ale niewykluczone, że kończąc karierę będzie miał na swoich placach więcej mistrzowskich pierścieni. Przecież ma on za sobą dopiero 4 lata gry w NBA i jeszcze cała kariera przed nim. Natomiast LeBron jest prawdopodobnie gdzieś w okolicach połowy swojej kariery i już dwa razy zmarnował szansę na mistrzostwo, przegrywając w wielkim finale.

Jeszcze pozostanmy na chwilę przy porównaniu Duranta i Jamesa. Są to dwa zupełnie różne typy gwiazd. Podczas gdy LeBron jest bardzo medialny, lubi przebywać w świetle kamer i nawet swoje decyzje ogłasza w telewizji przed milionową publicznością, Durant jest cichym chłopakiem, który poza boiskiem właściwie nie istnieje jako gwiazda.

Kevin wygląda jak wyrośnięty uczeń, kiedy na pomeczową konferencję prasową przychodzi z plecakiem na plecach. Na boisku nie widać na jego ciele żadnego tatuażu (co prawda ma je i to nawet sporo, ale ukryte pod koszulką i nie prezentuje ich tak jak pozostali). Natomiast po meczu w klubowym autobusie słychać jak dzwoni do swojej mamy, krzycząc do słuchawki „Cześć mamusiu!”.

Ten krótki opis wydaje się mało pasować do wielkiej gwiazdy NBA. Przecież najlepsi zawodnicy zarabiający miliony dolarów są gwiazdami nie tylko na boisku. Są to równocześnie gwiazdy show biznesu i zdecydowanie wyróżniają się z tłumu. Jednak zupełnie inaczej jest w przypadku Duranta. On do tej kategorii zupełnie nie pasuje. Nie pojawia się co chwilę w telewizyjnych show, nie oglądamy zdjęć z imprez z jego udziałem, nie dyskutujemy też o jego

kontrowersyjnych wypowiedziach. Kevin jest wielką gwiazdą na boisku, ale poza nim wygląda jak przeciętny 23-latek (oczywiście nie biorąc pod uwagę jego wzrostu). Jest to po prostu sympatyczny chłopak, którego nie da się nie lubić.

O Durancie słyszymy właściwie wyłącznie w kontekście jego występów na parkiecie. Tak samo jest teraz podczas lockoutu, kiedy zawodnicy znajdują sobie mnóstwo różnych zajęć i robią wokół siebie dużo szumu. O Kevinie też jest głośno, ale przede wszystkim ze względu na jego występy w różnych meczach. Pod tym względem Durant jest nudny. Jak mówi trener Scott Brooks, Kevin jest nudny, ponieważ albo jest w domu albo trenuje na sali, ale od razu dodaje, że to jest dobra nuda. Widać jednak, że osoby odpowiedzialne za wizerunek Duranta, starają się go trochę 'podkolorować', przybliżyć nam jego sylwetkę, aby nie był on dla nas aż taki nudy, kiedy nie gra akurat w kosza. Dlatego też w internecie możemy oglądać serię dokumentalnych filmików *Kevin Durant's 35th hour*, w których poznajemy Kevina i widzimy, że jest to zwykły chłopak, a nie jakaś maszyna do treningów i gry. Poza tym, przedłużający się lockout dał również Durantowi okazję do sprawdzenia swoich zdolności aktorskich. Chociaż początkowo Kevin nie chciał przyjąć propozycji występu w filmie. Zgodził się dopiero po długich namowach producentów, przedstawicieli NBA, a przede wszystkim swojej mamy. A dzięki pojawieniu się w filmie ma szansę dotrzeć do szerszej publiczności, która zna go tylko z parkietów. Ma teraz okazję pokazać, że jest 'wszechstronny', że poza parkietem też może zaistnieć. Jednak od razu trzeba zaznaczyć, że przy tych dodatkowych zajęciach, Durant nie zapomina o tym, co jest dla niego najważniejsze. W przerwach między zdjęciami do filmu „Switch”, które odbywają się na kampusie Louisiana State University w Baton Rouge, Kevin trenuje z zawodnikami LSU Tigers, aby utrzymać formę. Natomiast w filmikach *35th hour* zawsze duża część poświęcona jest jego występom na boisku, albo treningom. Bo to jest tu najważniejsze i właśnie taki wizerunek Kevina, jako „koszykarskiego maniaka”, jest nieustannie podkreślany. Durant koncentruje się przede wszystkim na grze, reszta 'gwiazdorskiego życia' go nie interesuje. A jeśli już występuje w filmie, to tylko dlatego, że akurat ma sporo wolnego czasu przez lockout, a i tak ten występ nie odrywa go od codziennej pracy na sali treningowej.

Taki jest Durant i tak jest on nam pokazywany. Jest zupełnym przeciwieństwem LeBrona (pod względem osobowości i wizerunku, nie mówię tu oczywiście o sprawie treningów i tego, ile czasu każdy z nich poświęca na pracę nad swoją grą). A biorąc pod uwagę, że zeszłoroczne wydarzenia bardzo nadszarpnęły wizerunek gwiazdora Heat, który stał się najbardziej znieawidzoną gwiazdą ligi, taka osoba jak Durant od razu zyskała więcej zwolenników. Niektórzy kibice odsunęli się od LeBrona i szukając sobie nowego idola natknęli się na Kevina. Docenia się na przykład to, że on też w zeszłe wakacje podpisał nowy kontrakt, ale nie robił z tego wielkiego show. Nie opowiadał w mediach o swojej decyzji, nie wzbudzał kontrowersji mówiąc, że musi się zastanowić, nie czekał też aż stanie się wolnym agentem i będzie mógł zrobić wokół siebie takie zamieszanie, jakie wtedy robił James. A miał do tego podstawy, przecież dopiero co został najmłodszym królem strzelców w historii NBA i zapewnił swojej drużynie awans do playoffs. Durant po prostu chciał nadal grać dla Thunder, dlatego podpisał z nimi kontrakt i poinformował o tym na twitterze. Natomiast później, kiedy Bryant, James, Wade i inne największe gwiazdy zrezygnowały z udziału w Mistrzostwach Świata, on stał się liderem reprezentacji USA. Durant był gwiazdą tamtego offseason mimo, że to nie o nim w mediach mówiło się najwięcej.

Kevin taki już po prostu jest. Ale nie można zapomnieć, że mimo wszystko jest on gwiazdą najlepszej koszykarskiej ligi świata, zarabia miliony i ma wokół siebie sztab specjalistów, którzy pomagają mu zarobić jeszcze więcej. Kevin jest jaki jest, ale też te niektóre jego cechy są skrupulatnie podkreślane i dzięki temu kreuje się jego wizerunek grzecznego chłopaka, dla

którego najważniejsza jest koszykówka. Podkreśla się, że jest zupełnie inny niż LeBron czy inne gwiazdy, po to, by pozyskać więcej fanów i stworzyć z niego jeszcze większą gwiazdę.

LeBron i Durant są trochę jak Magic i Bird. Może to zbyt daleko posunięte porównanie, ale co tam. Od razu zaznaczam, że nie mówię tu o umiejętnościach czysto koszykarskich, tylko o sferze marketingowej. W latach 80-tych kibice byli podzieleni na fanów charyzmatycznego i medialnego Magica, a cichego Larry'ego, który wolał przebywać na swojej farmie niż pojawiać się na czerwonym dywanie. Podobnie jest w tym przypadku. Z jednej strony mamy gwiazdę nie tylko koszykówki, ale i show biznesu, a z drugiej spokojnego Kevina. Wydaje się, że tak to jest kreowane i te różnice są bardzo dokładnie pokazywane, żebyśmy mogli opowiedzieć się po którejś ze stron, a potem wspierali naszego idola kupując jego buty, koszulki itp.

Zresztą mówiąc o butach, warto przypomnieć początek profesjonalnej współpracy Duranta z Nike, ponieważ bardzo dobrze odzwierciedla to jego podejście do życia. Przechodząc na zawodowstwo Durant cieszył się ogromnym zainteresowaniem nie tylko drużyn, ale i firm obuwniczych, które chciały, aby reklamował ich markę. Ostatecznie Durant podpisał umowę z Nike na \$60 milionów. Była to druga najwyższa umowa tego typu dla debiutanta, więcej dostał tylko LeBron James. Jednak trzeba dodać, że Durant otrzymał jeszcze lepszą ofertę od Adidasa, którzy zaproponowali mu \$10 milionów więcej. Zdecydowana większość zawodników w takiej sytuacji zapewne wybrałaby tą drugą ofertę, ale nie Durant. Dla niego liczyło się przywiązanie do marki i butów Nike, w których grał od małego. Na samym początku swojej przygody z koszykówką grał w używanych butach i to nie słynnych Air Jordanach, a w modelach firmowanych przez gwiazdy żeńskiej koszykówki - Lisę Leslie i Sheryl Swoops, ponieważ jego matki nie było stać na inne. Kevinowi dobrze grało się w Nike'ach, był przywiązany do tej marki i uznał, że to jest ważniejsze niż trochę wyższy kontrakt. Wygrało przywiązanie i lojalność.

Mówiąc o wizerunku Kevina, o jego osobowości i o tym jakiego typu jest człowiekiem, trzeba jeszcze wspomnieć o jego podejściu do kolegów i całego zespołu. Jest on super strzelcem, ale nie można powiedzieć o nim, że jest samolubny i koncentruje się tylko na swoich rzutach. On przede wszystkim dba o drużynę i o to, żeby jego koledzy też byli zaangażowani w grę. Ufa im i chce z nimi jak najlepiej współpracować. Dlatego, jeśli ma możliwość, nie boi się oddać piłki do partnera i pozwolić mu rzucić. Michael Jordan potrzebował znacznie więcej czasu, żeby nauczyć się takiego zaufania do swoich partnerów.

W ostatnich playoffs, Westbrook był bardzo krytykowany za oddawanie zbyt dużej ilości rzutów, zwłaszcza mając u swojego boku króla strzelców. Media strasznie atakowały Westbrooka i zastanawiano się jak na to wszystko zareaguje Durant. Każdy inny gwiazdor na jego miejscu z pewnością ostro wykrzyczałby swojemu partnerowi, nie przebijając w słowach, gdzie jest jego miejsca. Ale nie Kevin. Dla niego zawsze najważniejszy jest zespół, który jest dla niego jak rodzina. I w tym trudnym momencie Kevin zapewnił, że zespół trzyma się razem, wspiera się i wspólnie walczy o zwycięstwo. Mam nadzieję, że w szatni zdecydowanie powiedział Russellowi kto jest tu numerem jeden, ale ważne jest, aby publicznie nie roztrząsać takich spraw, tylko wyjaśniać je między sobą. Takie działanie pozwala zbudować dobrą atmosferę w zespole i akurat w przypadku Thunder podkreśla się u nich świetną chemię. Jest ona możliwa właśnie dzięki postawie lidera, jakim jest Durant.

W czasie wakacji Kevin w jednym z wywiadów odniósł się do spekulacji, że dla Thunder najlepiej byłoby oddać Westbrooka i pozyskać rozgrywającego, który bardziej będzie myślał o swoich kolegach, zamiast o kreowaniu własnych pozycji rzutowych. Durant ostro zaprotestował i powiedział, że nie chce innego rozgrywającego niż Westbrook, bo on jest

idealnym zawodnikiem dla Thunder. Dodał też, że ich nieporozumienia wynikają z tego, że obaj bardzo lubią rywalizować, a w rezultacie jest to dobre dla drużyny, bo sprawia, że obaj dają z siebie wszystko na treningach i podczas meczów. Mało który gwiazdor, a przede wszystkim strzelec, mając u swojego boku takiego rozgrywającego jak Westbrook, tak by się zachował. Tymczasem dla Kevina ważne są dobre stosunki z kolegami z drużyny i dobra atmosfera. Dlatego wspiera swojego kolegę, nawet gdy ma podstawy, aby publicznie go skrytykować (i tu ponownie podkreślę, że mam nadzieję, iż w prywatnej rozmowie wytyka mu błędy, bo lider też musi to robić).

Durant trzyma się zasady „Keep It Positive”, której nauczył się od swojego pierwszego trenera Charlesa Craiga, zwanego „Chucky”. Miał on duży wpływ na Kevina, o czym świadczy między innymi fakt, że numer 35 na koszulce nosi właśnie by uhonorować swojego trenera, który został zamordowany mając ledwie 35 lat. Chucky uczył go pokory i koncentrowania się na grze, był natomiast przeciwny jakimkolwiek przejawom agresji.

Jednak Durant miał w swoim życiu okres, kiedy zapomniał o zasadach jakie wpajał mu Chucky i nie zawsze był grzecznym chłopcem. Kiedy grał w szkole średniej był czas, w którym Durant często wdawał się w słowne przepychanki z rywalami. Jak wspomina, nie pozwalał wtedy nikomu nic złego o sobie powiedzieć, czuł, że jest najlepszy. Wcześniej nie był znany z trash talkingu, ale w pewnym momencie coraz bardziej starał się dogryźć przeciwnikom. Pewnego razu powiedział Vernonowi Macklinowi (wybrany w drugiej rundzie tegorocznego draftu, numer 52), że w meczu przeciwko drużynie Macklina, on i jego kolega Ty Lawson rzucą po 30 punktów. „We gonna kill you all” groził mu Kevin. Jednak już w samym meczu zagrał fatalnie, zdobył tylko 11 punktów, pudłując aż 15 z 17 rzutów. W tym czasie był już uważany za jeden z największych młodych talentów w Stanach, ale po tym występie wielu ekspertów zaczęło w niego wątpić, sądząc, że go przecenili. Kevin zastanawiał się dlaczego tak słabo zagrał, aż w końcu go olśniło. To przez przechwalanie się. To nie jest w jego stylu, a ta sytuacja była dla niego świetną lekcją, z której szybko wyciągnął wnioski. Przypominał sobie wtedy Chucky'ego. Od tamtego starcia z Mcklinem, Kevin pisze na swoich butach „Keep It Positive” i już nie wchodzi w utarczki słowne.

Mówiąc o zasadzie „Keep It Positive”, warto jeszcze przytoczyć przykład z jego kariery w NBA. Pod koniec sezonu 2009/10, kiedy Thunder walczyli o jak najlepsze rozstawianie przed playoffs, przegrali bardzo wyrównany mecz z Jazz. Durant oddawał wtedy rzut za trzy w samej końcówce i był widocznie faulowany przez CJ Milesa. Jednak sędzia nie odgwizdał faulu i Thunder przegrali 139-140. Kevin zdobył wtedy 45 punktów, trafił aż 7 trójek i tą ostatnią też mógł trafić. Początkowo był wściekły na sędziego i opuszczając boisko był gotów powiedzieć dziennikarzom, co o nim myśli. Jednak chwilę później przypominał sobie czego uczył go Chucky i przypominał sobie też sytuację z Macklinem. Po meczu stwierdził, że faulu nie było, ponieważ sędzia go nie odgwizdał. NBA później przyznała, że sędzia popełnił błąd. To było oczywiste i Kevin miał prawo być wściekły za brak gwizdka, ale nie zrobił awantury i nawet nie skrytykował sędziego. Pomiął to i zamiast rozpraszać się narzekaniem na brak gwizdków, zostawił to za sobą i skoncentrował się na kolejnym meczu. Taki jest właśnie Kevin.

Skoro już tak dużo miejsca poświęciłem Durantowi, to dla tych którzy nie do końca znają jego historię, krótko o tym, jak rozpoczęła się jego przygoda z koszykówką.

Wszystko zaczęło się kiedy Wanda Pratt, matka Kevina, zabrała jego i jego brata na zajęcia do Seat Pleasant Activities Center. Wanda była samotną matką, ciężko pracowała na utrzymanie rodziny, dlatego bardzo często dziećmi zajmowała się ich babcia lub ciotka. Jednak kiedy Kevin miał już 8 lat, Wanda uznała, że nie może ciągle polegać na swojej matce i siostrze, musi

je odciążyć. Dlatego zdecydowała, że zajęcia na sali i gra w koszykówkę będą idealnym sposobem dla jej synów na spędzenie wolnego czasu. Kevin był zachwycony nie tylko samą grą, ale przede wszystkim atmosferą jaka panowała w Centrum. Od małego był uczony przez matkę, że najważniejsza jest rodzina, a jak tylko pojawił się w Centrum, poczuł rodzinną atmosferę, kiedy wszyscy przywitali go z otwartymi ramionami. Jak już wcześniej wspominałem, jego pierwszym trenerem był Chucky. Zaproponował mu grę w drużynie do lat 9 i nauczył podstaw koszykówki. Kilka tygodni po tym jak mały Kevin po raz pierwszy przekroczył próg Centrum, wystąpił w pierwszym meczu i od razu był wyróżniającym zawodnikiem. Niedługo potem powiedział swojej mamie, że w przyszłości chce grać w NBA, chce aby koszykówka była jego pracą. Wanda uświadomiła mu, że ten cel może osiągnąć tylko poprzez bardzo ciężką pracę, dlatego zapytała go czy jest pewien tego co powiedział. Kevin odpowiedział, że tak. Od tego momentu rozpoczęły się ciężkie treningi i nie było mowy o odpuszczeniu nawet jednego dnia.

Kolejnym terenem, który wziął Duranta pod swoje skrzydła był Taras Brown. Młody Kevin spędzał bardzo dużo czasu z Chucky'm i Tarasem. Nie tylko na sali. Trenerzy zabierali go też do swoich domów i wspólnie oglądali mecze NBA. Byli jak rodzina, a Kevin zaczął nazywać Tarasa swoim ojcem chrzestnym.

Brown był bardzo wymagający. Kiedy Kevin powiedział mu, że chce kiedyś grać w NBA, usłyszał od trenera to, co już wcześniej mówiła mu mama. To wymaga bardzo ciężkiej pracy. Durant był gotowy podjąć ten wysiłek. Zasada była prosta – jeśli Kevin nie da z siebie maksimum, musi za karę biegać po stromym zboczu, które znajdowało się tuż obok sali. Zbocze miało jakieś 45 metrów i było bardziej strome niż stopnie na stadionie. Jeśli na treningu trener widział, że Kevin nie daje z siebie wszystkiego, biegał po zboczu. Czasami musiał kilkadziesiąt razy biegać w górę i w dół, podczas gdy jego mama cierpliwie czekała w samochodzie, aż skończy trening. Trener nie pozwalał Kevinowi brać udział w ulicznych towarzyskich meczach pięciu na pięciu, ponieważ twierdził, że tego typu mecze nie pomogą mu się rozwinąć. Zamiast tego, cały czas trenowali indywidualnie poszczególne elementy gry. Kevin nie narzekał i nie rezygnował mimo że czasami na drugi dzień ledwo mógł chodzić. Jak sam mówi, był uzależniony od gry i treningów. Poza tym, sala była dla niego oazą spokoju. Jako nieśmiały, bardzo chudy i wysoki chłopak w szkole był często obiektem żartów, a ze względu na swój wzrost nie mógł po prostu schować się w tłumie. Dlatego nienawidził szkoły. Najlepiej czuł się na boisku i z ogromną przyjemnością spędzał cały wolny czas na treningach.

Durant był oddany treningom, ale też jego mama i trener postarali się, żeby miał odpowiednie podejście do tego co robi. Wanda i trener Brown zawarli pakt. Niezależnie od sukcesów jakie będzie odnosił Durant, nie zamierzali okazywać mu, że są usatysfakcjonowani. Wanda zawsze okazywała miłość swoim synom i mówiła im, że jest z nich dumna, ale jak tylko przychodziło do koszykówki, nie pozwalała Kevinowi zbyt długo cieszyć się pojedynczymi sukcesami, ponieważ wiedziała, że chodzi o coś więcej. Durant dobrze pamięta sytuację jak ta, kiedy w jednym z meczów zdobył 26 punktów, zebrał 11 piłek i poprowadził drużynę do zwycięstwa, a potem zamiast usłyszeć pochwały od mamy, ona wytknęła mu, że nie grał odpowiednio twardo w obronie.

To przyniosło świetne rezultaty. Dzięki dobrym nauczycielom, Kevin doszedł do tego najwyższego poziomu i teraz możemy podziwiać jego fantastyczną grę. Niestety, chwilowo nie na boiskach NBA.

Drugi w rankingu gwiazd lockoutu jest **Metta World**

Peace

, zawodnik znany niegdyś jako Ron Artest. Jeśli ktoś decyduje się na zmianę nazwiska i to na „Metta World Peace”, to nie można tego pominąć. Artest swoją dziwną decyzją bardzo urozmaicił nam ten nudny czas lockoutu. Pojawianie się w NBA Światowego Pokoju, tuż po występach Duranta, było głównym tematem ostatnich miesięcy. Od dawna było wiadomo, że Metta jest ostro zakrecony, ale kto by przypuszczał, że aż tak, aby zmienić sobie nazwisko na Światowy Pokój? Ale on na tym nie mógł poprzestać. Imię też musiał sobie zmienić. Teraz nie już jest Ronem jakiego znaliśmy, teraz to Metta. *Metta, czyli buddyjski termin oznaczający dobroć i życzliwość wobec innych.* W ten sposób Artest stał się 'gołąbkim pokoju' w NBA. Ten sam zawodnik, który jeszcze kilka lat temu był czarną owcą ligi. Jeszcze niedawno większość kibiców kojarzyła go przede wszystkim ze słynnej bójki w The Palace, kiedy bił się nie tylko z graczami Pistons, ale i z kibicami. Sprawiał problemy na boisku i poza nim. Dwa lata temu sam przyznał, że na początku swojej kariery grając w Bulls, w przerwach meczów nie raz pił koniak, który miał schowany w szafce. Taki właśnie był Ron. Ale to się zmieniło. Artest przeszedł metamorfozę i przeistoczył się w World Peace'a. Rok temu to on trafił kluczową trójkę, która przypieczętowała mistrzostwo Lakers, a potem dziękował swojej psychoterapeutce. Stał się aktywnym działaczem na rzecz zdrowia psychicznego. Nawet swój mistrzowski pierścień sprzedał, aby pozyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na cele charytatywne. Jego działania zostały docenione przez NBA i w minionym sezonie został uhonorowany nagrodą Citizenship Award, dla zawodnika, który najbardziej udziela się na rzecz innych. Do tego zmienionego wizerunku, nowe imię i nazwisko pasują idealnie. Metta ma zamiar przekazywać wszystkim pozytywne emocje i chce być orędownikiem pokoju. Takie jego nowe dziwactwo.

W historii NBA mieliśmy już zawodnika o wiele mówiącym nazwisku World B. Free. Było to na początku lat 80-tych, kiedy toczyła się zimna wojna, a świat był podzielony na dwa wrogie obozy. Free chciał dać wyraźny przekaz, apelując o pokój na świecie poprzez swoje nazwisko. Jednak on nie wymyślił tego sobie tak, jak Artest. Urodził się jako Lloyd B. Free, dlatego wystarczyła mu jedynie zmiana imienia na World. Nie była to tak diametralna zmiana jak w przypadku World Peace'a. W przypadku Artesta to przede wszystkim ekstrawagancja. Zmienił sobie nazwisko, bo tak sobie to wymyślił. Nie było to też związane z religią, jak chociażby w przypadku Lew Alcindora (Kareem Abdul-Jabbar) czy Chrisa Jacksona (Mahmoud Abdul-Rauf). Metta World Peace jest po prostu nieobliczalny, a ta zmiana to kolejny pretekst, by zrobić wokół siebie dużo zamieszania, co akurat ex-Ron bardzo lubi.

Ale nie tylko zmiana nazwiska była tym, czym Metta przyciągał naszą uwagę. Wymyślił sobie też, że w czasie lockoutu chciałby zagrać w Europie. Jednak nie interesowały go drużyny grające w Eurolidze, a słaba liga angielska. Jeszcze jako Artest, prawie dogadał się z klubem Cheschire Jets. Przedstawiciele tej angielskiej drużyny prezentowali już koszulkę z jego nowym nazwiskiem, a w bonusie mieli załatwić mu występ w angielskiej operze mydlanej. Jednak ostatecznie do porozumienia nie doszło i Metta nawet na chwilę nie pojawił się w Anglii. Nie pojechał także do Finlandii, gdzie chciał zobaczyć ten piękny kraj i przy okazji miał zagrać w jednym meczu, jak to przed nim kiedyś zrobili Scottie Pippen i Dennis Rodman. Z tych planów nic nie wyszło, ale Artest postarał się, aby sporo się o nich mówiło. Jedyne co zrealizował, to występ w „Tańcu z Gwiazdami”. Metta postanowił spróbować swoich sił na innym parkiecie niż koszykarski, ale taniec towarzyski zdecydowanie nie jest jego najsilniejszą stroną. Już lepiej radzi sobie za mikrofonem rapując, chociaż co do tego też można dyskutować. Po pierwszym tańcu dostał bardzo niskie oceny od jurorów, a potem

telewizyści nie wsparli go smsami i Światowy Pokój jako pierwszy odpadł z programu. Dużo sobie nie potańczył. Jedynym pozytywnym aspektem jego krótkiego epizodu z tym programem, był fakt, że pieniądze, które dostał za występ, przekazał na cele charytatywne.

Trzeci w rankingu jest **Kobe Bryant**, czyli mistrz tegorocznych

offseasonowych plotek. W całej dotychczasowej karierze Bryanta, tylko w jednym momencie rzeczywiście sporo mówiło się o jego ewentualnym transferze, kiedy w 2007 publicznie powiedział, że chciałby odejść z Lakers. Wtedy pojawiało się wiele plotek transferowanych, ale to nie trwało długo. Kobe został w LA i jest z tą drużyną tak silnie związany, że teraz jakiegokolwiek rozmowy dotyczące jego transferu to czysta fantazja. Jednak lockout, to coś zupełnie innego. To idealny czas, aby Kobe mógł poczuć się jak LeBron czy Melo w ostatnich latach. Teraz to on był w centrum zainteresowania wielu drużyn i to wobec niego pojawiało się najwięcej plotek.

Jak tylko rozpoczął się lockout, Kobe zasugerował, że mógłby zagrać gdzieś poza NBA, póki liga ponownie nie ruszy. I zaczęło się. Besiktas ledwo co porozumiał się z Deronem Williamsem, a już przedstawiciele tureckiego klubu zapowiedzieli, że ściągną także Bryanta. Nie wiadomo jak bardzo rozmowy na linii Besiktas-Bryant były poważne, ale z tego co donosili tam Turcy, było już niemal pewne, że Kobe u nich zagra. Przez kilka tygodni przedstawiciele Besiktasu na bieżąco informowali nas o tym, że złożyli mu ofertę, że mają się spotkać, że jest coraz bliżej porozumienia itd. Nawet kiedy w końcu odezwał się sam Kobe i powiedział, że nie rozmawiał z nimi od kilku tygodni, przedstawiciele Besiktasu twierdzili, że mają zaplanowane z nim dalsze negocjacje. Ostatecznie oczywiście nic z tego nie wyszło, ale Besiktas przez długi czas był jednym z głównych graczy na koszykarskim rynku, a przynajmniej tak się kreował.

Po Turkach, na pomysł zatrudnienia Bryanta wpadli Chińczycy. Podobno za grę w lidze chińskiej Kobe mógłby dostać nawet półtora miliona dolarów miesięcznie. Niestety, na przeszkodzie stanęły władze ligi, które wprowadziły zakaz podpisywania kontraktów z opcją opt-out, pozwalającą zawodnikowi wrócić do NBA po zakończeniu lockoutu. W tej sytuacji, jako że Bryant ma kontrakt z Lakers, nie było możliwości, żeby podpisał umowę w Chinach. A jeszcze dzień przed ogłoszeniem tej decyzji przez władze ligi, drużyna Shanxi Zhongyu poinformowała, że właśnie porozumiała się z liderem Lakers. Szybko okazało się, że była to tylko plotka. Najwidoczniej władze Shanxi jeszcze póki mogły, chciały podbudować swój wizerunek i dołączyć do grona drużyn, które prawie miały Kobe'go.

Kolejni byli Włosi, a konkretnie Virtus Bologna. Prezydent Virtusu, Claudio Sabatini przez kilka tygodni szczegółowo informował nas na jakim etapie są rozmowy z gwiazdorem Lakers. Podawał konkretne kwoty jakie Virtus oferuje, a także to, ile oczekuje Bryant. Ostatecznie przedstawił mu cały wachlarz możliwych opcji gry w barwach Virtusu – jeden mecz, jeden miesiąc, dwa miesiące a może cały sezon. Kobe mógł wybierać. Ostatecznie okazało się, że Virtus stać tylko na opcję jeden mecz lub jeden miesiąc – 10 meczów. Podobno Bryant zainteresował się miesięcznym pobytem w Bolonii. Akurat wtedy odbywał swoją podróż po Europie w ramach touru Nike. Wykorzystał tę sytuację i w wywiadzie dla włoskich mediów podgrzał atmosferę. Powiedział, że bardzo chciałby zagrać we Włoszech, że jest to jego marzenie, bo tu uczył się koszykówki i ma nadzieję, że uda się dojść do porozumienia z Virtusem. Ale czas mijał i nic się nie działo. Dlatego władze Virtusu nie chcąc kończyć tej 'opery mydlanej', której zawdzięczali tak duży rozgłos swojej drużyny, kontynuowali temat

„Kobe we Włoszech”. Sabatini co chwilę wymyślał i prezentował swoje nowe pomysły. Jednym razem chciał zorganizować „Kobe's Night” czyli jeden mecz pokazowy z udziałem Bryanta, innym razem proponował mini turniej o puchar Kobe'go. Pisał nawet list do samego Baracka Obamy, aby ten pozwolił Bryantowi zagrać we Włoszech, jak gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych miał jakikolwiek wpływ na czas zakończenia lockoutu. To przedstawienie zrobiło się naprawdę żenujące, ale pod koniec października Sabatini wreszcie przyznał, że nie udało się wynegocjować porozumienia. Wydawało się, że sprawa została zakończona, jednak Sabatini od razu dodał, że jeszcze się nie poddaje i spróbuje dogadać się w listopadzie. Szkoda słów.

Ostatecznie zapewne Kobe nie zagra nigdzie poza NBA, chyba, że rzeczywiście cały sezon zostanie odwołany. Wtedy może zastanowi się nad takim rozwiązaniem. Póki co, Kobe tylko sugerował, że mógłby zagrać gdzieś w Europie, że chciałby zagrać we Włoszech, ale tak naprawdę trudno uwierzyć, że rzeczywiście poważnie brał to pod uwagę. To był tylko sposób na jeszcze lepsze wypromowanie się na Starym Kontynencie. Kibice we Włoszech nigdy mu nie zapomną, że chciał grać w ich kraju. A to, że się nie udało... to na pewno nie jego wina, on przecież chciał, to było jego marzeniem. W Turcji również będą wspominać, że Kobe prawie u nich grał. Dlatego ta cała sytuacja i te ciągłe plotki zupełnie nie przeszkadzały Bryantowi. Tymczasem dla tych drużyn, pojawianie się w świetle Bryanta było pokazaniem się na cały świat. To była naprawdę świetna reklama. Teraz już nie tylko w Europie, ale i w USA kibice koszykówki znają takie kluby jak Besiktas czy Virtus. A do tego, była to darmowa reklama, bo ostatecznie nic Kobe'mu nie zapłacili. I może też o to chodziło. Nic na niego nie wydali, a i tak wszyscy będą kojarzyć ich klub z liderem Lakers. Bo tak naprawdę trudno uwierzyć, że ktoś, kto publicznie prowadzi negocjacje i ujawnia wszystkie finansowe propozycje, robi to wierząc w ich sukces. To było tylko medialne show.

Deron Williams

nie bawił się w tego typu spekulacje co Kobe. Podpisał kontrakt z Besiktasem i zaskoczył wszystkich tą decyzją. Wcześniej nic się o tym nie mówiło, nie było żadnych doniesień, żadne tajemnicze źródła nie podawały, że może dojść do takiego transferu. Kiedy pojawiały się pierwsze informacje, właściwie wszystko było już dogadane na linii Williams-Besiktas i obie strony mogły oficjalnie to potwierdzić. W ten sposób D-Will jest pierwszym i jak dotąd jedynym aktualnym All-Starem, który zdecydował się spędzić lockout w Europie. Dlatego też zasługuje na wyróżnienie i wysoką pozycję w tym rankingu.

Deron zaryzykował i zgodził się na grę w Turcji, ale jak się teraz przekonuje, dostosowanie się do europejskiej koszykówki wcale nie jest takie łatwe. Przyjechał do Turcji jako wielki gwiazdor NBA i wszyscy oczekiwali, że od razu zdominuje grę i poprowadzi swoją drużynę do samych zwycięstw. Niestety swój pierwszy poważny test oblał. Besiktas przegrał dwumecz z belgijskim Dexia Mons-Hainaut (w składzie którego nie ma nikogo z NBA) i został wyeliminowany z EuroCup. W pierwszym meczu D-Will miał 15 punktów z bardzo słabą skutecznością z gry na poziomie 20%, ale do tego dołożył 9 asyst i Besiktas wygrał. Natomiast w drugim starciu było jeszcze gorzej – 7 punktów, 3/13 z gry, 7 asyst, 6 strat i porażka. W pierwszym meczu ligi tureckiej Williams również nie zachwyił swoją grą. Miał tylko 11 punktów i 5 asyst.

Poza tym mimo, że Besiktas ma w swoim składzie taką gwiazdę, podczas przygotowań do

sezonu miał problemy, aby regularnie zapełniać swoją halę (a nie jest to ogromny obiekt, bo może pomieścić tylko ponad 3 tysiące kibiców). Co prawda przez pierwszy miesiąc obecności D-Willa w Turcji grali oni przede wszystkim mecze towarzyskie, które nie miały większego znaczenia, ale mimo wszystko, inwestując w gwiazdę z NBA, oczekuje się zapewne, że na każdym spotkaniu trybuny będą pękać w szwach. Tak więc początki nie są łatwe zarówno dla D-Willa jak i dla Besiktasu, może później będzie lepiej...

Kolejne miejsce w rankingu zajmują grupowo **zawodnicy**

Nuggets, którzy postanowili nie czekać na koniec lockoutu i podpisali roczne kontrakty w Chinach. Pierwszy na taki krok zdecydował się **Wilson Chandler**, potem w jego ślady poszedł **JR Smith**, a na koniec dołączył do nich **Kenyon Martin**. Są oni wolnymi agentami i w normalnych warunkach mogliby liczyć na nową umowę w NBA, ale uznali, że nie ma sensu czekać i wybrali pewne pieniądze w Chinach.

Początkowo do Chin wybierało się wielu zawodników, ale kiedy w lidze chińskiej wprowadzono zakaz podpisywania kontraktów z opcją opt-out, uniemożliwiając zawodnikom powrót do NBA po zakończeniu lockoutu, zapał znacznie zmalował. Kobe, Howard czy Wade mogli zapomnieć o takiej opcji i wydawało się, że raczej nikt z zawodników mających silną pozycję w NBA nie zdecyduje się poświęcić sezonu dla gry w lidze chińskiej. A jednak. Znaleźli się tacy i to wszyscy z Nuggets. Wybrali Chiny, bo mają tam gwarantowane pieniądze i w dodatku znacznie większe niż w Europie. Na Starym Kontynencie dostaliby umowy z opt-out, ale nie mogliby liczyć na zarobki w granicach \$2-3 milionów, jakie mają zapewnione w Chinach. W końcu w Europie \$5 milionów dostał tylko Williams, jeden z najlepszych playmakerów NBA. Taki Martin, mający już za sobą lata świetności, nie mógł liczyć na miliony w Europie, a w Chinach zarobi ponad połowę tego co D-Will w Turcji.

Wybór był prosty, albo mniejsze pieniądze i opt-out, albo większa kasa i cały sezon w Chinach. Wybrali to drugie.

Zobaczymy jak Chandler, Martin i Smith poradzą sobie za Wielkim Murem. Earl Clark, który jeszcze przed nimi podpisał tam roczną umowę, bardzo szybko wrócił do Stanów z powodów osobistych. Początkowo mówiło się, że to przez chińskie jedzenie, ale powód nie był aż tak trywialny i okazało się, że wrócił do domu, ponieważ jego dziewczyna jest w ciąży.

Honorable mention: trzeba jeszcze w tym miejscu wspomnieć o **Sonny'm Weemsie**. Był on pierwszym wolnym agentem, który mimo że w NBA mógłby w normalnych warunkach liczyć na kontrakt, zdecydował się na grę przez cały rok poza Stanami i podpisał umowę z Žalgirisem Kowno.

Kolejną pozycję w rankingu zajmuje **Delonte West**, czyli

zawodnik, któremu najszybciej spośród wszystkich zabrakło pieniędzy (a przynajmniej jako jedyny się do tego przyznał). West nie może wyjechać do Europy ani do Chin, aby grając w koszykówkę zarobić na chleb, ponieważ z powodu spraw sądowych nie może opuszczać kraju. Przy okazji podczas tego długiego lockoutu, West udzielił wywiadu, w którym opowiedział nie tylko o swojej chorobie (depresji), ale też opisał jak naprawdę wyglądała sytuacja sprzed dwóch lat, gdy został zatrzymany przez policję wioząc na motorze kilka pistoletów. West wcale nie bawił się w *Desperado* chowając broń do futerału od gitary, a tak to wszyscy sobie wyobrażaliśmy, kiedy usłyszeliśmy wtedy o zatrzymaniu go przez policję. Jak to było naprawdę? Tamtego dnia West położył się spać wcześniej, a przed położeniem się do łóżka jak zawsze zażył dawkę leku na depresję. Niedługo potem został obudzony przez swoją żonę, która powiedziała, że jego znajomi znaleźli jego kolekcję broni (którą trzymał w swoim studio w piwnicy) i musi on jak najszybciej zabrać ją z domu. Zamroczony lekko West, będąc już pod wpływem leku, wrzucił broń do tego co miał pod ręką, a był to akurat futerał od gitary, wsiadł na motocykl i pojechał przewieźć swój arsenał do drugiego domu, który mieścił się nieopodal. W drodze zaczęła przysypiać, nie zjechał w odpowiednim miejscu z autostrady, a na koniec zatrzymała go policja. West od razu powiedział im, że wiezie ze sobą broń. Został zatrzymany i stał się pośmiewiskiem całej ligi, bo z tego co dotychczas słyszeliśmy, ta sytuacja wyglądała naprawdę kuriozalnie. Teraz znamy wersję Westa i możemy na to spojrzeć zupełnie inaczej.

Właśnie przez tamtą sytuację West nie może wyjechać teraz ze Stanów, dlatego postanowił znaleźć sobie pracę na miejscu, jednak poza koszykówką. W Home Depot go nie przyjęli, ale na początku września został zatrudniony w sklepie meblowym. Wreszcie może liczyć na stały dochód, dopóki lockout się nie zakończy. Nie wiem czy Delonte rzeczywiście ma takie problemy finansowe, że musi pracować w tym sklepie, czy robi to bo mu się nudzi, a może po prostu chce spróbować czegoś nowego. Faktem jest, że jak na realia NBA, jest jednym z biedniejszych zawodników. W swojej 7-letniej karierze zarobił 'tyko' około \$14 milionów, a w zeszłym sezonie miał minimalny kontrakt na nieco ponad milion dolarów. Warto jednak zwrócić uwagę, że nie żali się, że będzie musiał sprzedać któryś ze swoich samochodów czy domów. A takie sytuacje zdarzały się podczas lockoutu 13 lat temu, kiedy zawodnicy i to ci mający duże, milionowe kontrakty, opowiadali jak to jest im trudno bez czeków z NBA. Tymczasem West po prostu wziął sprawy w swoje ręce, poszedł do pracy i zarabia teraz jak przeciętny Amerykanin.

Przy okazji, warto zwrócić uwagę, że podczas tegorocznego lockoutu zawodnicy nie zaliczyli poważnych wpadek wizerunkowych jak 13 lat temu. Teraz już nie słyszeliśmy o tym, że ci milionerzy nie mają za co żyć, a przecież w dobie bardzo popularnych serwisów społecznościowych jest o taką wpadkę znacznie łatwiej niż wcześniej. Jednak teraz zawodnicy zostali dobrze przygotowani. Między innymi dostali od NBPA poradnik, jak zachować się w czasie lockoutu i duży nacisk był tam położony na to, by w wypowiedziach publicznych nie poruszać kwestii swojej sytuacji finansowej. Właśnie tego typu wypowiedzi bardzo zaszkodziły zawodnikom 13 lat temu i sprawiły, że kibice jeszcze bardziej postrzegali ich jako chciwych i zachłannych. Trudno przecież przeciętnemu człowiekowi zrozumieć zawodnika, który rocznie zarabia miliony dolarów i nie dostając czeków przez kilka miesięcy żali się jak to musi oszczędzać. 13 lat temu zawodników próbował tłumaczyć Patrick Ewing, ówczesny prezydent NBPA, mówiąc, że zawodnicy może zarabiają bardzo dużo, ale też dużo wydają. To jednak mało kogo przekonało. Dlatego też w tej wojnie o pieniądze z właścicielami, nie mogli liczyć na przychyłność ze strony kibiców. Teraz wyciągnęli z tego wnioski i ich wizerunek jest już znacznie lepszy. Obecnie zawodnicy próbują wykreować się na tych poszkodowanych, którym została odebrana możliwość gry w koszykówkę, dlatego też muszą radzić sobie sami i

występują w różnych meczach charytatywnych.

13 lat temu największą wpadkę zaliczył **Kenny Anderson** (wtedy gracz Celtics) i to jego przykład jest najczęściej podawany w tym kontekście. Anderson miał wtedy za sobą 7 lat gry w NBA, miał też na swoim koncie występ w All-Star Game i nie musiał obawiać się o swoją pozycję w lidze. W sezonie 1997/98 zarobił ponad \$5 milionów, a był w trakcie kontraktu gwarantującego mu w sumie \$49 milionów. Jednym słowem był milionerem i nie miał podstaw, aby martwić się o pieniądze. Jednak w czasie przedłużającego się lockoutu on widział to inaczej i w wywiadzie dla *The New York Times*, szczegółowo opowiedział o swojej sytuacji finansowej. Dowiedzieliśmy się, że na ubezpieczenie i utrzymanie swoich 8 samochodów wydaje \$75 tysięcy. W związku z tym, Kenny zastawiał się, czy nie będzie musiał sprzedać jednego ze swoich Mercedesów. Dodał też, że ludzie nie rozumieją sytuacji zawodników, ale im więcej się zarabia, tym więcej się wydaje, dlatego nie dostając czeków, będzie on musiał zacisnąć pasa.

Jeśli żyje się tak rozrzutnie jak Anderson w tamtych czasach, to rzeczywiście przerwa w otrzymywaniu pensji mogła być problemem. W artykule z *The New York Timesa* poznaliśmy jakie są niektóre wydatki zawodowego koszykarza. Wynajęcie willi w Beverly Hills kosztowało Andersona miesięcznie \$12.5 tysięcy. Płacił alimenty wysokości \$7.2 tysięcy miesięcznie na swoje dwie córki, a jeszcze miał na utrzymaniu dwie córki, które miał ze swoją żoną. Do tego dochodziła opłata za mieszkanie matki na Long Island, \$3 tysiące miesięcznie. Poza tym, w tamtych czasach Kenny zawsze miał przeznaczone \$10 tysięcy miesięcznie na 'luźne wydatki', a w sumie rocznie przeznaczał na to około milion dolarów. Natomiast żona dostawała \$3.5 tysiąca na wydatki związane z prowadzeniem domu. Bardzo często pożyczał też nie małe sumy swoim znajomym i rodzinie (w czasie lockoutu tego nie robił).

Ostatecznie lockout nie zmusił go do aż tak 'drastycznych' ruchów jak sprzedaż samochodu, ale jego słowa zapisały się w historii ligi. Zaciskanie pasa przez Andersona i zastanawianie się czy nie będzie musiał sprzedać jednego z samochodów były obiektem wielu żartów i wpłynęły na wizerunek zawodników. Jednak te trudności podczas lockoutu niczego go nie nauczyły i później nadal rozrzutnie wydawał swoje pieniądze. Dlatego pomimo, że przez całą karierę zarobił ponad \$60 milionów, szybko stracił swój majątek. No ale trzeba liczyć się z dużymi wydatkami skoro ma się siódmkę dzieci i to z pięcioma różnymi kobietami...

Dla ligi taki wizerunek zawodników jak 13 lat temu, był bardzo korzystny. Ale w tej walce wizerunkowej, wtedy jak i dzisiaj, zawodnicy i tak zawsze będą przegrani, ponieważ to oni zarabiają miliony, to ich pensje znamy i o nich dyskutujemy. Tymczasem właściciele to dla przeciętnego kibica grupa anonimowych ludzi i dlatego też, tą drugą stroną konfliktu często nazywa się 'klubami' zamiast 'właścicielami'. A klubom trudno zarzucić chciwość, przecież to zawodnicy często opuszczają swoje drużyny szukając większych pieniędzy gdzie indziej.

Tak to już jest, że podczas lockoutu, liga kreuje zawodników jako chciwych i nastawionych wyłącznie na kasę. Natomiast za chwilę, jak tylko rozpocznie się sezon, będą przekonywać nas, że zawodnicy to ludzie sukcesu, których nasze dzieci powinny naśladować i z których powinny brać przykład.

Podczas obecnego lockoutu co prawda nie słyszymy o zawodnikach 'zaciskających pasa', ale też mamy grupę, która niechlubnie zapisała się w historii tego offseason. Przede wszystkim Javaris Crittenton, który został oskarżony o zabójstwo 22-letniej kobiety. On twierdzi, że jest niewinny, ale to wyjaśni proces. Zarzuty są naprawdę poważne i to już nie jest sprawa, z której możemy się śmiać jak w przypadku afery z bronią trzymaną w szatni Wizards. Swoją głupotę pokazał także Kenyon Martin, kiedy na twitterze życzył wszystkim swoim wrogom, żeby zachorowali na AIDS i umarli. To już jest poziom poniżej krytyki, dlatego nie będę dalej ciągnął tego wątku.

Problemy sprawiał też **Michael Beasley**, ale zupełnie innego kalibru. Już na początku wakacji został złapany przez policję na przedmieściach Minneapolis za przekroczenie prędkości, a w jego samochodzie znaleziono marihuanę. To już nie pierwszy przypadek, kiedy Beasley jest przyłapany na paleniu trawki. Wygląda na to, że nie może się od tego uwolnić i nie pomógł mu nawet pobyt w specjalistycznej klinice podczas wakacji 2009. Na szczęście dla niego, nie będzie miał z tego powodu poważnych problemów z prawem, bo w stanie Minnesota posiadanie marihuany to tylko drobne wykroczenie i kara za to wynosi jedynie \$128. A póki jest lockout, Mike nie musi się też obawiać kary ze strony ligi. Może to właśnie dlatego, że ma zbyt dużo swobody, znowu pakuje się w jakieś kłopoty.

Będąc przy marihuanie można także wspomnieć o Zachu Randolphie. W jego domu w Portland został pobity mężczyzna, który przyszedł sprzedać trawkę kolegom Zacha. Na szczęście lider Grizzlies podobno nie brał w tym zdarzeniu bezpośredniego udziału, ale jak widać, w Portland problemy go nie opuszczają, dlatego najlepiej jeśli nie będzie zbyt często opuszczał Memphis.

Wróćmy do Beasley'a. Podczas minionych wakacji zasłynął on także z potyczki z jednym z kibiców podczas ulicznego meczu w Nowym Jorku. Beasley wdał się w dyskusję z kibicem, a potem zakończył ją odpychając twarz swojego oponenta otwartą dłonią. B-Easy nie wytrzymał i zareagował bardzo nerwowo. Ale miał prawo być wtedy zdenerwowany, ponieważ Durant, który grał w drużynie przeciwnej, niemiłosiernie go mijał i pokazywał mu swoją wyższość. To musiało wytrącić go z równowagi.

Jednak po tym meczu atmosfera na pewno była już zupełnie inna, bo Beasley i Durant są bardzo dobrymi przyjaciółmi. Choć ich pierwsze spotkanie nie zapowiadało, że może to się zakończyć tak dobrą znajomością. Zresztą ta historia bardzo pasuje do Beasley'a. Było to tak...

Kiedy Kevin miał 11 lat, na sali w Seat Pleasant Activities Center pojawił się nowy chłopak. Był utalentowany, ale nie potrafił się skoncentrować na boisku, był niezdyscyplinowany i trenerzy mieli z nim problem. Po kilku pierwszych godzinach treningu, nowy został w końcu wyproszony z sali i miał już nie wracać. Jednak zanim opuścił salę, jeszcze bardziej się naraził, zabierając dużą pizzę, którą mieli wszyscy zjeść na lunch. Tym niepokornym chłopakiem był oczywiście Beasley. Durant wspomina, że w ten pierwszy dzień Mike prezentował się okropnie, był leniwy i grał jakby mu się nie chciało. Trenerzy jednak dali mu kolejną szansę, a Kevin i Mike zostali przyjaciółmi. Starszy Kevin był wzorem dla młodszego o rok Mike'a. Byli wtedy nierozłączni. Matka Beasley'a bardzo często podrzucała Mike'a do domu Kevina wcześniej rano. Potem obaj razem jedli śniadanie i jechali do szkoły, a popołudnia spędzali grając w koszykówkę. Durant mówi, że Beasley jest dla niego jak brat. Jednak charaktery mają zupełnie inne. Kevin to cichy, spokojny chłopak, podczas gdy Beasley lubił się wygłupiać i był dowcipniem w zespole. W szkole średniej razem grali przez rok w Christian Academy, a następnie na kolejny sezon

przenieśli się do Oak Hill Academy. Później zmienili szkoły i ich drogi się rozeszły, ale ich kariery toczyły się bardzo podobnym torem. Obaj zostali wybrani MVP meczu McDonald's All-America. W NCAA obaj zostali wybrani najlepszymi debiutantami swoich konferencji. Obaj też opuścili uczelnię po roku studiów i obaj w drafcie zostali wybrani z drugim numerem.

Teraz każdy z nich ma już za sobą kilka lat w NBA i podczas gdy Durant stał się wielką gwiazdą, Beasley ciągle nie może przebić się na ten najwyższy poziom. Mike w odróżnieniu od Kevina, nie potrafi skupić się wyłącznie na grze, dlatego pakuje się w różne pozaboiskowe problemy, które przeszkadzają mu w pełnym rozwinięciu skrzydeł.

Chociaż jest szansa, że ten długi lockout coś jednak zmieni w życiu i karierze Beasley'a. Po swoich wielu wpadkach, Mike wynajął agencję od public relations, która ma poprawić jego wizerunek złego chłopca. Poza tym, ciężko pracuje nad swoją grą, żeby na parkiecie wreszcie pokazać na co go tak naprawdę stać. W jego treningach pojawiły się elementy jogi, karate, a nawet i baletu, aby zwiększyć jego siłę, a zarówno zwinność. (Wyobrażacie sobie Beasley'a w balecie? Szkoda, że nie nagrał swoich treningów i nie wrzucił na YouTube jak inni.) Warto jeszcze dodać, że podczas tych wakacyjnych treningów zrzucił ponad 6 kilo, tak więc jeśli sezon w końcu ruszy, powinien być gotowy, by wreszcie pokazać pełnię swoich możliwości. Próbkę tego mogliśmy zobaczyć chociażby w meczu charytatywnym w Oklahomie, kiedy Beasley już nie kłócił się z kibicami, był natomiast najlepszym strzelcem spotkania z dorobkiem 56 punktów.

Teraz czas na zawodnika, który zarobił najwięcej podczas lockoutu, czyli **Kris**

Humphries. On nie grał w towarzyskich meczach, nie wyjechał do Europy ani do Chin, nie pracuje w sklepie meblowym, a mimo wszystko zarobił sporą sumę podczas tego offseason. Zawdzięcza to zawarciu związku małżeńskiego ze znaną celebrytką Kim Kardashian (która jest znana z tego, że jest znana).

Wszyscy, którzy mają za sobą organizację ślubu, dobrze wiedzą ile pieniędzy wydaje się na tą uroczystość, ale nie Kris i Kim. Oni wiedzą ile na tym można zarobić. Według *New York Post*, na swoim ślubie zarobili około \$17.9 milionów – \$15 milionów za prawa do dwuodcinkowego telewizyjnego show pokazującego całą uroczystość wraz z przygotowaniami, \$2.5 miliona za prawa do zdjęć ślubnych, \$300 tysięcy za ekskluzywne zdjęcia z sesji zaręczynowej i jeszcze sprzedali też zdjęcia z wieczoru panieńskiego Kim. Niezły biznes.

To jest dopiero chore! Tak ogromne pieniądze właściwie za nic. Oburzamy się, że Lewis i Arenas są przepłacani, a Kris i Kim dostali za jedną imprezę prawie tyle samo, co oni zarabiają w rok. No ale to jest już zupełnie inna kwestia celebrytów i całego show biznesu i nie będą się w to zagłębiał, bo nie ma to sensu.

Fakty są takie, że w jedne wakacje i to jeszcze akurat te, które mijają pod znakiem lockoutu, Kris zarobił wraz ze swoją żoną więcej niż przez 7 lat gry w NBA (\$16.9 mln). Ale bądźmy szczerzy, nie dostał tych pieniędzy dlatego, że jest znanym koszykarzem, wszystko zawdzięcza swojej popularnej żonie. Dzięki temu, teraz nie musi się martwić jak długo jeszcze potrwa

lockout i jak wysoki kontrakt potem podpisze. Z Kim u boku ma zagwarantowane dostatnie życie. O ile będą wspólnie żyć... Już dwa miesiące po tym hucznym ślubie, na plotkarskich serwisach pojawiły się informacje, że są bliscy rozwodu. Podobno Kim ma dosyć wiecznych imprez Krisa, który głównie w ten sposób spędza lockout, i już konsultowała się nawet z prawnikiem. Może się skończyć na tym, że Krisowi nie zostanie wiele z tych prawie \$18 milionów...

John Wall. Kolejna po Durancie gwiazda lockoutowych meczów, zresztą obaj bardzo często występowali w jednej drużynie.

W swoim pierwszym sezonie w NBA, Wall miał momenty, w których błyszczał, ale kontuzja i niesamowite popisy Blake Griffina sprawiły, że nie był najlepszym debiutantem. Oczekiwania wobec niego były większe niż to co pokazał, ale wiadomo, że ma on ogromny potencjał i z czasem na pewno stanie się jedną z gwiazd ligi, tak samo jak Griffin. Teraz podczas lockoutu wykorzystał różne mecze towarzyskie, aby pokazać próbkę swoich możliwości. Biorąc udział w lidze organizowanej przez Impact Basketball w Las Vegas, w trzech meczach zdobył za każdym razem ponad 40 punktów. Potem w meczu pomiędzy Goodman League i Indy Pro-Am (podczas nieobecności Duranta w składzie Goodman) poprowadził zespół z Waszyngtonu do zwycięstwa, odnotowując imponujące triple-double: 41 punktów, 12 asyst i 10 zbiórek. Miał 34 punkty w meczu charytatywnym Chrisa Paula, a w rewanżowym spotkaniu pomiędzy Drew League i Goodman League, zdobył dla gości aż 55 punktów (choć jego drużyna przegrała). Ale Wall nie tylko wyróżniał się pod względem statystyk, również styl w jakim zdobywał swoje punkty był niesamowity. Wielokrotnie w tych meczach popisywał się takimi wsadami, że spokojnie mógłby rywalizować z BGriffinem w konkursie wsadów (ale to raczej za dwa lata, bo w tym sezonie All-Star Weekend prawdopodobnie się nie odbędzie). I nawet sam przyznał, że myśli nad tym, aby wziąć udział w Slam Dunk Contest. W NBA jeszcze nie widzieliśmy tak dunkującego Walla. Było co oglądać.

Honorable mention: jeśli chodzi o wsady, to w tych lockoutowych meczach swoje umiejętności w tym elemencie pokazywał również **Josh Selby**, wybrany w drugiej rundzie tegorocznego draftu przez Grizzlies. Grał bardzo widowiskowo, dlatego nie dało się go nie zauważyć. Bez wątplenia też jest on najbardziej aktywnym debiutantem podczas lockoutu. Wystąpił w wielu różnych meczach, ale jak sam przyznał, dostaje za to pieniądze i jest to jego sposób na utrzymanie się w czasie gdy ciągle czeka na swój pierwszy zawodowy kontrakt w NBA. Swoje możliwości Selby pokazał też w bezpośrednich pojedynkach z Brandonem Jenningsem, które były ozdobą spotkań w Melo League.

Brandon Jennings też miał kilka widowiskowych występów podczas wielu meczów towarzyskich, w których się pojawił. Przede wszystkim był najlepszym strzelcem Drew League w pierwszym starciu z Goodman, kiedy zdobył 34 punkty, chociaż nie trafił potencjalnego game-winnera. Następnie Brandon samozwańczo stał się

10
rzecznikiem Drew League. Kiedy pojawiły się plotki, że Kobe może zagrać w barwach tej drużyny w meczu rewanżowym z Goodman, stwierdził on, że lider Lakers nie ma do tego prawa, bo nie urodził się w LA. Według Jenningsa, drużyna Drew jest tylko dla zawodników pochodzących z Los Angeles. Natomiast to, że Kobe dla tego miasta zdobył już 5 mistrzowskich tytułów, za bardzo go już nie obchodzi. Był to jeden ze sposobów w jaki Jennings próbował sprowokować Kobe'go, a przede wszystkim zwrócić na siebie uwagę. Wcześniej występował w koszulce „Nobody likes a snake” nawiązując do pseudonimu Black Mamba i wyzywał Kobe'go na pojedynek. Jednak Bryant nie odpowiedział na te zaczepki, co nikogo nie zdziwiło. Brandon musi jeszcze popracować nad swoją pozycją w lidze, żeby jego prowokacje obchodziły najlepszych w NBA.

Poza tymi nieudanymi prowokacjami i występami w meczach towarzyskich, Jennings nie marnował czasu. Ciężko trenował nad poprawą swojego rzutu i obiecał, że w nowym sezonie ponad 40% jego rzutów będzie wpadało do kosza. Ale nie tylko pracował na sali treningowej, również w biurze. A właściwie to łączył te dwie rzeczy, pracę w biurze i na boisku, będąc na stażu w Under Armour. Brandon jest koszykarską twarzą tej marki, tak więc nie miał problemu, aby się tam wkręcić. W głównej siedzibie Under Armour znajdują się bardzo dobrze wyposażone obiekty treningowe, w tym także boisko do koszykówki. Jennings korzysta z nich podczas lockoutu, a dodatkowo zaproponowano mu także staż. Brandon przyjął propozycję i dostał stanowisko nazwane „Curator of Cool”, a w ramach swojej pracy między innymi brał udział w spotkaniach projektantów butów, podsuwając im swoje pomysły.

A na koniec...

Specjalne wyróżnienie: dla **Blake'a Griffina** za najbardziej żenującą historię lockoutu – w jednym z wywiadów Blake'owi zebrało się na chwilę szczerości i opowiedział o tym jak pierdnął podczas meczu z Knicks. To było naprawdę przykre, nie wiem co go skłoniło do takich zwierzeń. Nie rozumiem jego poczucia humoru i przekonałem się o tym oglądając filmiki na *Funny or Die* z nim w roli głównej. Nie wiem jak wy, ale ja klikałem *Die* bez dłuższego zastanawiania. Nie było co oglądać. A wracając jeszcze do fascynującej historii z meczu z Knicks, to właściwie nie wiem co jest bardziej żenujące, to że Blake o tym opowiedział, czy to, że potem wszystkie koszykarskie blogi o tym pisały (choć trochę to rozumiem, bo w sytuacji gdy w NBA nic się nie dzieje, nawet taki temat był warty uwagi).

Autor:

Adam Szczepański

szczepanski@czwarta-kwarta.com
twitter.com/@ASzczepanski

czwarta-kwarta.com